

Zmierzch Zachodu, świt Azji. Wielobiegunowy świat wyłania się z fal przemian



PROF. MARIUSZ ORŁOWSKI

Virginia Tech University, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego

Stany Zjednoczone tracą rolę niekwestionowanego hegemonu i dostrzegając tę zmianę zamierzają skupić się na ochronie najważniejszych bastionów swojego bezpieczeństwa i gospodarczego dobrobytu. Cofające się imperium zwalnia miejsce dla azjatyckich potęg – Chin i Indii. Państwo Środka już stało się gospodarczym supermocarstwem odpowiadającym za jedną trzecią globalnej produkcji towarów. Na naszych oczach upada jedność świata zachodniego, którą przez dekady spajały ideały wolnorynkowe i korzyści czerpane z globalizacji. Szczególnie w polityce przemysłowej widoczny jest zwrot ku protekcjonizmowi, subsydiom i cłom. Model ten nie przynosi jednak zadowalających efektów wobec azjatyckich konkurentów. Jak w tej sytuacji powinna zachować się Europa? Czy Polska jest gotowa prowadzić w ramach Unii Europejskiej niezależną politykę gospodarczą? W jaki sposób konkurować ze światowymi gigantami?

Zmierzch Zachodu i globalna ekspansja Chin

Znajdujemy się w początkowym momencie schyłku Zachodu. Społeczeństwa krajów wysoko rozwiniętych, szczególnie w Europie, nie mają jeszcze powszechnej świadomości, że proces ten już się rozpoczął. Jednak nowa administracja Stanów Zjednoczonych w pełni uświadomiła sobie tę rzeczywistość, co znajduje odzwierciedlenie w wypowiedziach zarówno prezydenta, jak i jego najbliższych współpracowników. Przykładowo, Marco Rubio, Sekretarz Stanu, w serii

kontrowersyjnych oświadczeń stwierdził, że świat nie funkcjonuje już w porządku unipolarnym, z USA jako niekwestionowanym hegemonem, lecz w wielobiegunowym, przypominającym mozaikę. Stanowi to niemal kopernikański przewrót w amerykańskiej myśli geostrategicznej i przywołuje skojarzenia z tzw. momentem Gorbaczowa (przyjęło się nazywać tak okres, w którym ZSRR uznał konieczność „strategicznego zwinięcia imperium” wobec niemożności udźwignięcia jego ciężaru). Podobnie jak radziecki przywódca, który w latach 80. XX wieku zainicjował pierestrojkę

i przyspieszoną dezintegrację bloku satelickiego, współczesne amerykańskie elity zdają się wybierać *retrenchment* – taktyczny odwrót z obszarów niemożliwych do obrony oraz wzmocnienie tych bastionów, które wciąż da się utrzymać.

Skuteczność takich posunięć pozostaje przedmiotem debaty. Radziecka transformacja przyniosła wielkie korzyści dla Zachodu, lecz dla Rosji i jej sojuszników, takich jak NRD, oznaczała katastrofę polityczno-gospodarczą. Gorbaczow, reagując na zarzuty zdrady ze strony przywódców NRD, odparł: „Historia karze tych, którzy nie podążają za duchem czasu”. Trzy dekady później Stany Zjednoczone znalazły się w analogicznym „momencie zwrotnym”, będąc zmuszone do redefinicji swojej roli. Rezygnacja z funkcji „globalnego policjanta” na rzecz obrony własnej „hemisfery” tłumaczy takie inicjatywy, jak zwiększenie kontroli nad Kanałem Panamskim czy chęć przejęcia Grenlandii – to działania mające na celu zabezpieczenie geopolitycznych redut w obliczu wielobiegunowej rzeczywistości i rosnącej konkurencji. Metafora „cofającej się fali imperium” znajduje tu swoje odzwierciedlenie: podobnie jak ZSRR, USA wycofują się z peryferii, by skupić zasoby na ochronie jądra swojej potęgi. Proces ten, choć w teorii racjonalny, przypomina żeglugę przez burzliwe wody – każdy manewr niesie ryzyko utraty wpływów lub destabilizacji. Niestety, ani historia, ani nauki ekonomiczne nie oferują nawigacyjnej mapy, która wskazałaby najbezpieczniejszą ścieżkę zwijania imperium.

Prezydent USA, kierując się mentalnością korporacyjnego stratega, w wymiarze gospodarczym dokonuje bilansu narodowych

wydatków i dostrzega, że Stany Zjednoczone trwonią zasoby na licznych frontach, generując przy tym chroniczny deficyt w handlu międzynarodowym. To właśnie turbulencje w tej „globalnej księgowości” tłumaczą obecną, nieco chaotyczną, politykę celną obecnej administracji, dążącej do zatrzymania „krwawienia” gospodarczego. Dotychczasowa pozycja USA (niekwestionowanego hegemon) pozwalała na strategiczną hojność wobec sojuszników – drobne ustępstwa handlowe postrzegano jako monetę w grze o wpływy, niezagrożającą globalnej dominacji Ameryki.

Stany Zjednoczone rezygnują z funkcji „globalnego policjanta” na rzecz obrony własnej „hemisfery”. Skupienie zasobów na ochronie jądra swojej potęgi, choć w teorii racjonalne, przypomina żeglugę przez burzliwe wody – każdy manewr niesie ryzyko utraty wpływów lub destabilizacji. Niestety, ani historia, ani nauki ekonomiczne nie oferują nawigacyjnej mapy, która wskazałaby najbezpieczniejszą ścieżkę zwijania imperium.

Drugim motywem ograniczania wydatków i szukania drogi do pomnożenia zysków jest zwiększający się dług federalny Stanów Zjednoczonych, który osiągnął poziom 124% PKB. Roczny koszt jego obsługi wynosi 890 miliardów dolarów – to równowartość całorocznego budżetu Pentagonu. Dopóki dolar pełni funkcję globalnej waluty rezerwowej, Stany Zjednoczone mogą łagodzić ten problem poprzez dodruk pieniądza. Jednak w obliczu postępującej dedolaryzacji – widocznej w inicjatywach BRICS, rosnącym wykorzystaniu chińskiego juana

w handlu surowcami oraz wzroście znaczenia cyfrowych walut państwowych – popyt na dolara systematycznie spada. Coraz mniej inwestorów jest też skłonnych do nabywania amerykańskich obligacji, co odsłania kruche fundamenty tego modelu finansowego. Przez dekady ekonomiści ostrzegali, że taki poziom zadłużenia jest balonem, który musi kiedyś pęknąć. Wydaje się, że moment ten właśnie nadchodzi: spadające zaufanie do dolara i konkurencja ze strony Chin stawiają USA przed perspektywą spirali kosztów zadłużenia, której nie da się powstrzymać wyłącznie dodrukiem waluty. W tej sytuacji retoryka Donalda Trumpa, skupiona na „ekonomicznym realizmie”, staje się nie tyle wyborem, co koniecznością.

Obecna administracja Stanów Zjednoczonych dokonuje zwrotu w optyce geopolitycznej. Ameryka nie zamierza dalek pełnić roli „rycerza świata”. Chce chronić interesy swojego kraju, który znalazł się w krytycznym położeniu i dla którego największym wyzwaniem nie jest już Rosja, lecz azjatycki smok i słoń – Chiny i Indie.

Kluczowym motywem działań prezydenta Trumpa pozostaje reindustrializacja Ameryki, stanowiąca strategiczny filar jego polityki gospodarczej. Globalizacja, która przez dziesięciolecia przemieszczała przemysłową bazę USA na Daleki Wschód (*offshoring*), pozostawiła gospodarkę narodową w stanie strukturalnej zależności. Wyzwanie to nie ogranicza się jedynie do odbudowania infrastruktury produkcyjnej, lecz wymaga stworzenia warunków, które skłonią zarówno rodzime, jak i zagraniczne firmy do relokacji zakładów produkcyjnych na teren Stanów

Zjednoczonych. Trump wykorzystuje w tym celu taryfy i cła – nie jako doraźny odwet w handlowych sporach, ale jako narzędzie systemowej presji. Chodzi o zmianę kalkulacji ekonomicznej: produkcja w USA ma stać się bardziej opłacalna niż *outsourcing* i *offshoring*, a zagraniczne korporacje, chcąc utrzymać dostęp do lukratywnego rynku amerykańskiego, muszą uwzględnić lokalną produkcję w swoich łańcuchach dostaw.

Jeśli ten plan zostanie zrealizowany, Stany Zjednoczone mogłyby odzyskać kontrolę nad kluczowymi sektorami przemysłu, zmniejszając podatność na globalne wstrząsy, a jednocześnie stworzyć miliony stabilnych, dobrze płatnych miejsc pracy – fundament obietnicy *Make America Great Again* (MAGA). Proces ten nie będzie jednak pozbawiony ryzyka. W fazie przejściowej należy się liczyć z zakłóceniami w łańcuchach dostaw oraz wzrostem inflacji, napędzanej wyższymi kosztami produkcji i ochroną rynku wewnętrznego. Ewentualne korzyści – większa produktywność, technologiczna modernizacja i znaczna niezależność gospodarcza – mogłyby stać się widoczne dopiero za kilka lat, najwcześniej pod koniec obecnej kadencji Trumpa. Na obecnym etapie trudno ocenić, czy reindustrializacja będzie trwałym rozwiązaniem problemów strukturalnych, czy jedynie krótkotrwałą interwencją o ograniczonym zasięgu. Światowe rynki i ekonomiści obserwują ten eksperyment z obawą i, w najlepszym przypadku, dozą ostrożnego optymizmu, zdając sobie sprawę, że jego skutki wykrócą daleko poza granice USA. Sukces lub porażka zadecydują nie tylko o przyszłości amerykańskiej gospodarki, lecz także o kształcie globalnego porządku handlowego w nadchodzących latach.

Tektoniczne pęknięcia w amerykańskiej optyce geopolitycznej radykalnie zmieniły stare założenia. Podczas gdy w Europie (w tym w Polsce i Ukrainie) wciąż panuje wiara w niezniszczalny pancerz amerykańskiej potęgi, Waszyngton postrzega świat przez pryzmat rachunku zysków i strat. Prezydent Wołodymyr Zełenski, reprezentując – w najlepszej wierze – żabią perspektywę Ukrainy stojącej w obliczu rosyjskiego zagrożenia, apelował w Białym Domu o solidarność wobec swego kraju, argumentując, że Putinowi nie można ufać, a USA mogą czuć się bezpieczne za osłoną oceanu. Donald Trump odparł na to z irytacją: „Ty nie mów nam, jak my mamy się czuć”. Była to wymowna riposta, przez którą przebija nowa filozofia przyświecająca obecnej administracji: rząd USA nie powinien już odgrywać roli „rycerza świata”, lecz chronić interesy swojego kraju, który znalazł się w krytycznym położeniu i dla którego największym wyzwaniem nie jest już Rosja, lecz azjatycki smok i słoń – Chiny i Indie. W obliczu tych wyzwań Ukraina – relatywnie niewielki i odległy kraj, uwikłany w konflikt z silną militarnie Rosją, nie jest priorytetem. Jest problemem, który obecna administracja chce szybko rozwiązać, aby skupić się na kluczowych (z jej perspektywy) globalnych rozgrywkach.

Ten zwrot ma głębszy kontekst historyczny. W 1992 r. Stany Zjednoczone i Europa Zachodnia kontrolowały połowę globalnej produkcji, dziś ich udział kurczy się do 35%, a do 2050 r. ma spaść do 25%. Prognozy przewidują, że do 2100 r. udział obniży się do 15% – „zmierzch hegemonii Zachodu” staje się zatem nieuchronny. Na horyzoncie wyłania się „świt potęgi Azji”, której dominacja jest już tylko kwestią czasu. Jaki będzie kształt przyszłego

porządku? Czy przybierze formę chińskiego monolitu, czy też tanga dwóch solistów – Chin i Indii?

Prognozy przewidują, że do 2100 r. udział globalnej produkcji USA i Europy obniży się do 15% – „zmierzch hegemonii Zachodu” staje się zatem nieuchronny. Na horyzoncie wyłania się „świt potęgi Azji”, której dominacja jest już tylko kwestią czasu. Jaki będzie kształt przyszłego porządku? Czy przybierze formę chińskiego monolitu, czy też tanga dwóch solistów – Chin i Indii?

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na wyraźny kontrast między trajektoriami demograficznymi Chin i Indii. Państwo Środka, liczące obecnie 1,41 miliarda mieszkańców, stoi w obliczu gwałtownego spadku populacji – do 2050 r. liczba ludności ma zmniejszyć się do 1,31 miliarda, a do końca XXI wieku spaść do zaledwie 770 milionów. Starzejące się społeczeństwo i niski wskaźnik dzietności działają niczym hamulec dla długoterminowego wzrostu. Tymczasem Indie, które już teraz są najludniejszym krajem świata, mają zwiększyć swoją populację do 1,67 miliarda w połowie wieku, zanim zacznie się ona stopniowo kurczyć, osiągając 1,1 miliarda pod jego koniec. Oznacza to, że do 2100 r. liczba ludności Indii będzie o 40-45% większa niż Chin, co daje im unikalną szansę na prześcignięcie rywala pod względem gospodarczym i geopolitycznym.

Nieubłagane trendy demograficzne i geopolityczne sprawiają, że zegar historii tyka coraz głośniejszymi. Nie ma już przestrzeni na

politykę opartą na strategicznych fantomach przeszłości: wzniosłych hasłach i sloganach, które dziś służą raczej jako kryształowe trumny dla narodowych interesów mniejszych państw. Donald Trump, niczym księgowy imperium, odrzuca te narracje jako przeżytki, które – jego zdaniem – zasłużyły już na miejsce w śmietniku minionych dziejów. Wzniosłe hasła, nawet te starannie dobrane, powinny służyć realizacji narodowych interesów – nie zaś stawiać się celem samym w sobie, któremu podporządkowuje się politykę. Tymczasem w Europie, w tym w Polsce, wciąż uważa się je za niepodważalne dogmaty, z którymi trudno się rozstać.

Chiny przekształciły się w gospodarczego giganta o globalnym zasięgu. Państwo Środka to jedyne współczesne supermocarstwo przemysłowe, odpowiadające za 33% światowej produkcji dóbr materialnych. Jego przewaga konkurencyjna – oparta na niższych kosztach energii, wydajniejszej sile roboczej i agresywnej innowacyjności – przypomina walec, który miażdży europejskie, a niekiedy nawet amerykańskie, próby rywalizacji.

To przywiązanie odsłania głębszy fenomen tożsamości zależnej – zbiorowej psychologii, w której samoświadomość narodu nie wyrasta z własnych korzeni, lecz jest lustrzanym odbiciem relacji z opiekunem. W przypadku Polski tożsamość ta przez dekady kształtowała się wokół przekonania, że jesteśmy wiecznie niedocenianym pupilem Zachodu, którego bezpieczeństwo, gospodarka i kultura istnieją wyłącznie w ramach parasola NATO i Unii Europejskiej. Tak jak rozwój rośliny

pnącej zależny jest od podpory, tak też Polska zinternalizowała narrację o sobie jako „spóźnionym ogniwie” Zachodu, traktując sojusz z USA jako fetysz stabilności. Gdy jednak opiekun usuwa się w cień, odsłania się pustka i powstaje pytanie: kim jesteśmy, gdy nikt nie definiuje nam naszej roli?

Ten swoisty kryzys tożsamościowy – rozdarcie między mentalnym uzależnieniem od zewnętrznych punktów odniesienia a brakiem autonomicznej wizji siebie – prowadzi do zbiorowego poczucia opuszczenia i rozczarowania. Tożsamość zależna zakłada konstruowanie własnego obrazu na podstawie czynników zewnętrznych, zamiast na wewnętrznej, autonomicznej samoświadomości. Gdy pęka lustro, w którym przeglądał się naród, pozostaje jedynie mgła dezorientacji: czy jesteśmy częścią Zachodu, czy może jego kulturową proteżą? Czy nasza historia to ciągłość, czy zbiór lub skłócone zbiory reakcji na cudze priorytety? Metafora tożsamości zależnej działa tu jak soczewka: pokazuje, jak narody, które przez dziesięciolecia postrzegały siebie przez pryzmat geopolitycznego sponsora, stają wobec konieczności pisania własnej opowieści od nowa. Jak zauważył filozof, Zbigniew Stawrowski, „tożsamość zależna to niekoniecznie błąd, lecz etap – ale etap, który musi zostać przekroczony, zanim czas przestanie być sprzymierzeńcem”.

W Europie, dotychczas chronionej geopolitycznym parasolem Stanów Zjednoczonych, wciąż utrzymuje się atmosfera zbiorowego samozadowolenia, moralnej wyższości i iluzji samowystarczalności. Dominująca część opinii publicznej,

kształtowana przez media głównego nurtu, przyjęłaby tezę o schodzeniu Europy na geopolityczne peryferia ze zdumieniem, traktując ją jako przejaw katastrofizmu. Nawet jeśli przyzna, że upadek jest teoretycznie możliwy, to sugestię, że proces ten już trwa, odrzuci jako apokaliptyczną przesadę.

Tymczasem rzeczywistość systematycznie demontuje optymistyczne narracje zachodnich mediów. Bezsporny jest fakt, że Chiny przekształciły się w gospodarczego giganta o globalnym zasięgu. Państwo Środka to jedyne współczesne supermocarstwo przemysłowe, odpowiadające za 33% światowej produkcji dóbr materialnych. Jego przewaga konkurencyjna – oparta na niższych kosztach energii, wydajniejszej sile roboczej i agresywnej innowacyjności – przypomina walec, który miażdży europejskie próby rywalizacji. Co więcej, w kluczowych technologiach przyszłości Chiny prześcignęły już nie tylko Europę – w wybranych sektorach zdetronizowały nawet Stany Zjednoczone, a w pozostałych dziedzinach redukują dystans w tempie, które Zachód zwykł nazywać „niesłychanym”.

Wydaje się, że Państwo Środka jest również bliskie przejęcia wiodącej roli w rozwoju sztucznej inteligencji (SI) – kluczowego paliwa napędzającego maszynę gospodarek przyszłości opartych na najbardziej zaawansowanych technologiach. Premiera chińskiego modelu DeepSeek w styczniu 2025 r. była iskrą inicjującą nowy wyścig technologiczny. Wywołała znaczący oddźwięk w Stanach Zjednoczonych, skłaniając do reakcji nawet prezydenta USA. W ocenie użytkowników DeepSeek dorównał, a w wielu aspektach nawet przewyższył możliwości

modelu ChatGPT 3.0. Początkowe doniesienia wskazywały również, że został opracowany przy wykorzystaniu kosztów stanowiących zaledwie jedną setną nakładów OpenAI na stworzenie modelu GPT¹. Wszystko wskazuje na to, że akurat w tym aspekcie różnica nie jest aż tak druzgocąca. Właściciele chińskiej firmy podali do wiadomości publicznej wyłącznie deklarowane koszty treningu modelu DeepSeek, co nie oddaje całkowitych kosztów stworzenia modelu. Wielu analityków podkreśla również wysokie prawdopodobieństwo ukrywania bezpośredniej pomocy finansowej rządu w Pekinie. David Sacks, przedsiębiorca, który z ręki Donalda Trumpa został powołany do administracji w roli Przewodniczącego Rady Doradców Prezydenta ds. Nauki i Technologii, przekazał (już kilka dni po premierze chińskiego modelu), że istnieją „istotne dowody” na to, że DeepSeek korzystało z danych wyjściowych modeli OpenAI, aby wesprzeć rozwój własnej technologii i obniżyć koszty.

Niezależnie od powyższych kontrowersji można zauważyć, że konkurencja na tym polu staje się co najmniej wyrównana. Rosnącą siłę Chin potwierdza wprowadzenie w marcu tego roku, przez inną rodzimą firmę, systemu Manus AI. To pierwsze tego typu narzędzie, które koordynuje synergii między heterogenicznymi, niezależnymi systemami SI, przekształcając je w samosterowny statek zdolny nie tylko do reakcji, lecz także do autonomicznego kreowania strategicznych inicjatyw operacyjnych. Chiński system Manus AI może

1 Ta informacja przyczyniła się do gwałtownego spadku (o 600 mld dolarów) wartości akcji firmy NVIDIA – lidera w produkcji wyspecjalizowanych procesorów dla SI. W kolejnych tygodniach akcje firmy odrobiły znaczną część tych strat.

być pierwszym namacalnym przejawem sztucznej inteligencji ogólnej (AGI).

W innych gałęziach przemysłu państwom Zachodu wcale nie wiedzie się lepiej. Według niektórych obliczeń Chiny produkują więcej niż dziewięć kolejnych największych gospodarek razem wziętych. Dominują w dziedzinie fotowoltaiki (zaspokajają 2,5-krotność obecnego globalnego popytu) czy produkcji pojazdów elektrycznych (produkują 50 milionów samochodów rocznie, co stanowi dwukrotność popytu na ich własnym rynku). Są monopolistą w zaciętej konkurencji o pierwiastki ziem rzadkich. Przejście na zieloną energię (na której przecież tak zależy państwom UE) może się udać tylko dzięki przystępnej cenowo i wysokiej jakości produkcji chińskich modułów słonecznych, turbin wiatrowych i pojazdów elektrycznych. Spojrzenie na łańcuchy dostaw ujawnia miażdżącą dominację Chin w tych kluczowych obszarach (udział w rynku globalnym w procentach):

- moduły słoneczne: 85%;
- panele słoneczne: 90%;
- polikrzem do paneli słonecznych: 85%;
- ogniwa baterii: 90%;
- katody akumulatorów: 90%;
- anody akumulatorów: 95%;
- turbiny wiatrowe: 63%;
- elektrolizery wodoru: 70%.

Szacuje się, że bez udziału Państwa Środka zielona transformacja w UE kosztowałaby co najmniej dodatkowe sześć bilionów dolarów. Tę różnicę w kosztach ponieśliby przede wszystkim podatnicy w krajach członkowskich, także w Polsce. Przewagę energetyczną Chin umacnia dodatkowo korzystanie z tanich

dostaw energii z Rosji, z których UE w dużej mierze zrezygnowała w odpowiedzi na wojnę w Ukrainie.

Ponadto Państwo Środka rozwija się w szybkim tempie w Azji Wschodniej, Ameryce Łacińskiej i Afryce. Jest największym partnerem handlowym Meksyku, wyprzedzając potężnego sąsiada – USA. Chińczycy budują tam centra przemysłowe dla paneli słonecznych, oświetlenia, elektroniki, części samochodowych i sprzętu mechanicznego. Bezpośrednie inwestycje zagraniczne z Chin wzrosły z 0,2 mld dolarów w 2012 r. do 2,5 mld dolarów w 2022 r. W 2023 r. 20% całej sprzedaży samochodów w Meksyku trafiło do Chin.

Według niektórych obliczeń Chiny produkują więcej niż dziewięć kolejnych największych gospodarek razem wziętych. Ponadto Państwo Środka jest monopolistą w zaciętej konkurencji o pierwiastki ziem rzadkich. Przejście na zieloną energię (na której przecież tak zależy państwom UE) może się udać tylko dzięki przystępnej cenowo i wysokiej jakości produkcji chińskich modułów słonecznych, turbin wiatrowych i pojazdów elektrycznych.

Pouczające jest również porównanie bloku BRICS i państw grupy G7. W 2012 r. produkcja gospodarcza krajów BRICS i G7 utrzymywała się na poziomie 30 bln dolarów. Do 2023 r. produkcja G7 spadła do 29 bln dolarów, podczas gdy BRICS (z wyłączeniem nowych członków) wzrosła do 34 bln dolarów. Ponadto grupa BRICS znacznie powiększyła się w 2024 r., m.in. o Turcję, która, po gorzkich

doświadczeniach z UE, złożyła wniosek o przystąpienie do alternatywnego sojuszu w czerwcu 2024 r. Choć szczyt w Kazaniu w październiku 2024 r. nie przyniósł żadnych kluczowych rozstrzygnięć, ze strony państw tworzących tę grupę wysłany został jasny sygnał, że chcą one przełamać dominację amerykańskiego dolara w międzynarodowych rozliczeniach gospodarczych, a nawet zastąpić go własną walutą.

Polityka przemysłowa: protekcyjizm, taryfy i subsydia

Na świecie, szczególnie w Stanach Zjednoczonych i Europie, nastąpiła olbrzymia zmiana w kierunku polityki przemysłowej charakteryzującej się protekcyjizmem, taryfami i subsydiami. Warto przytoczyć kilka przykładów odejścia od reguł wolnego rynku i nieingerowania państwa w sprawach gospodarczych.

W Stanach Zjednoczonych – w ramach ustawy *CHIPS and Science Act* – Intel otrzymał 8,5 miliarda dolarów na budowę nowych fabryk w czterech stanach (Arizona, Nowy Meksyk, Ohio, Oregon), podczas gdy GlobalFoundries uzyskało 1,5 miliarda dolarów z funduszy państwowych. Celem tych działań jest zwiększenie amerykańskiej produkcji zaawansowanych chipów z 12% do 20% globalnego wytwórstwa do 2035 r. Oczekuje się, że Micron Technology i Samsung otrzymają w USA łącznie ponad 11 miliardów dolarów dotacji. Były dyrektor generalny Intela, Pat Gelsinger, przewidywał, że w ciągu najbliższych pięciu lat nawet ponad 100 miliardów dolarów z amerykańskich funduszy publicznych trafi do Intela i Microna, przy czym sam Intel ma pozyskać co najmniej 50 miliardów dolarów

w formie subsydiów państwowych. Stanowisko Gelsingera przejął Lip-Bu Tan, a Intel stara się odzyskać udział w rynku, utracony na rzecz konkurencji. Wyzwanie to staje się jeszcze większe w obliczu pogłosek, że dział produkcji układów scalonych firmy – tzw. *foundry* – jest nie do uratowania i może zostać przejęty przez tajwańskiego giganta – TSMC. Odbudowa pozycji Intela nie będzie łatwym zadaniem. Przez lata firma nie zdołała skutecznie zaistnieć w dwóch kluczowych obszarach, które zdominowały rozwój branży technologicznej: smartfonach i sztucznej inteligencji.

Na świecie, szczególnie w Stanach Zjednoczonych i Europie, nastąpiła olbrzymia zmiana w kierunku polityki przemysłowej charakteryzującej się protekcyjizmem, taryfami i subsydiami. W UE to Niemcy stanowią porażający przykład łamania wszelkich zasad „freie Marktwirtschaft” i promowania tendencji do odradzania się protekcyjistycznej polityki przemysłowej.

Z kolei ustawa o redukcji inflacji (*Inflation Reduction Act*), z budżetem 430 miliardów dolarów, stanowi największą inwestycję klimatyczną w historii. Przynosi korzyści firmom, takim jak: BMW, Mercedes, Volkswagen, Linde, Holcim, Tesla, DRAX i Audi, prowokując do przeniesienia produkcji do USA. Równocześnie Stany Zjednoczone podniosły cła na chińskie pojazdy elektryczne do 100% ich wartości i to pomimo importu zaledwie 3000 chińskich samochodów elektrycznych rocznie. Nawet uległa Ameryce Europa zaprotestowała przeciwko tym nieuczciwym praktykom subsydiowania.

Jednak prezydent USA, Donald Trump, nadaje subsydiom i taryfom nową jakość: muszą być one skonstruowane i implementowane w sposób, który realnie przyczyni się do reindustrializacji Ameryki.

Czy jednak Europa została jeszcze wierna zasadom wolnego rynku i uczciwej konkurencji? Weźmy przykład Niemiec – największej, dominującej gospodarki w UE. Niemcy stanowią porażający przykład łamania wszelkich zasad „freie Marktwirtschaft” i promowania tendencji do odradzania się protekcyjnej polityki przemysłowej. Oto parę przykładów znaczących inwestycji państwa niemieckiego w przemysł na terenie Niemiec: Wolfspeed w Ensдорfie (0,8 mld euro), Infineon w Dreźnie (miliard euro) czy TSMC w Dreźnie (siedem mld euro). Natomiast Thyssen Krupp otrzymał ponad dwa miliardy euro na produkcję „zielonej stali”; Saarstahl oraz Dillinger Hütte – 2,6 mld euro, Salzgitter – miliard euro, a ArcelorMittal – 1,3 mld euro z budżetu federalnego. Ponadto Niemcy wydały już 100 miliardów euro z funduszu „Zeitenwende” (choć jego najlepszą cechą wydaje się być jego nazwa, wskazująca doprawdy na „punkt zwrotny” w rozumieniu mechanizmów gospodarczych).

Niemcy chętnie krytykują Chiny za nadprodukcję (nadwyżkę mocy produkcyjnych), mimo że same w przeszłości sprzedawały dwie trzecie swojej produkcji samochodów poza krajem. Ta jaskrawa hipokryzja podkreśla obecną zmianę dynamiki przemysłowej. Hasła wolnego rynku i wolnego handlu oraz szkodliwości ingerencji państwa zostały w dużej mierze porzucone i zapomniane. Całe pokolenia

ekonomistów były uczone wiary w mechanizmy wolnorynkowe i korzyści płynące ze specjalizacji i wymiany, ale zasady te zostały bezceremonialnie porzucone, gdy przestały służyć interesom głównych gospodarek. Pragmatyczni Amerykanie już za administracji Bidena jako pierwsi porzucili tę narrację, dostrzegając jej szkodliwe skutki.

Konsekwencje protekcyjizmu

Ostatecznie wszyscy gracze chcą tego samego: aby fabryki przyszłości były zlokalizowane w ich własnych krajach. Dążenie to obraca się wokół podatków, miejsc pracy, wzrostu gospodarczego i interesów bezpieczeństwa. Niektórzy bronią swoich starych gałęzi przemysłu, podczas gdy inni próbują budować nowe. Wyścig ten grozi jednak przekroczeniem celu – globalny popyt jest w końcu ograniczony. Co się stanie, jeśli każdy będzie miał własną fabrykę, ale żadna z nich nie będzie w pełni wykorzystana? Motywowane politycznie inwestycje, które omijają rzeczywisty popyt, mogą prowadzić do gwałtownego spadku cen i nierentowności producentów, a przez to – potencjalnie szkodzić gospodarce. Można to zaobserwować zarówno na przykładzie Stanów Zjednoczonych, jak i Niemiec.

W Stanach Zjednoczonych niedobór chipów spowodowany gwałtownym wzrostem popytu podczas pandemii przerodził się w nadwyżkę w 2022 r., nadwyrężając przychody firm. Intel opóźnił harmonogram budowy fabryki w Ohio (w której produkcja początkowo miała się rozpocząć w 2025 r.) z powodu wyzwań rynkowych (ze względu na „warunki biznesowe” i „dynamikę rynku”). W zeszłym roku amerykański producent chipów twierdził,

że będzie potrzebował jeszcze większych dotacji, ponieważ traci pieniądze na swojej działalności odlewniczej. Obecny Prezes Intela publicznie zakomunikował, że rozważana jest sprzedaż tego działu².

To rozczarowujące, że ta legendarna amerykańska firma jest tak zależna od wsparcia rządowego. Co prawda politycy obu partii reklamują producenta chipów jako narodowego czempiona, ale coraz częściej jest on postrzegany jako symbol wątpliwej jakości rządowej polityki przemysłowej. Intel miał otrzymać do 50 miliardów dolarów dotacji federalnych, czego domagał się jeszcze były CEO firmy, Pat Gelsinger. Stwierdził, że amerykańska produkcja układów scalonych „nie zostanie naprawiona w ramach jednego trzy- lub pięcioletniego programu” i zasugerował potrzebę wprowadzenia programu CHIPS 2.

Polityka przemysłowa, choć często „sprzedawana” jako patriotyczny nacjonalizm, zazwyczaj kończy się błaganiem o specjalne traktowanie. Kapitał natomiast jest kierowany z powodów politycznych, a nie w celu jego najbardziej produktywnego wykorzystania. W 2024 r. Intel zwolnił 15 tys. pracowników i zrezygnował z planów budowy nowoczesnej fabryki chipów w Magdeburgu (*notabene* również z linii montażowej układów scalonych pod Wrocławiem), mimo oferowanej dotacji niemieckiego rządu w wysokości

² Intel ujawnił w oświadczeniu o papierach wartościowych, że w 2023 r. stracił siedem miliardów dolarów na swojej jednostce odlewniczej, przy 18,9 miliardach dolarów sprzedaży, po około pięciu miliardach dolarów strat w każdym z poprzednich dwóch lat. Dodatkowo Intel ujawnił, że nie spodziewa się, aby jego działalność odlewnicza osiągnęła próg rentowności do połowy okresu od teraz do końca 2030 r.

To rozczarowujące, że Intel – legendarna amerykańska firma – jest tak zależny od wsparcia rządowego. Co prawda politycy obu partii reklamują producenta chipów jako narodowego czempiona, ale coraz częściej jest on postrzegany jako symbol wątpliwej jakości rządowej polityki przemysłowej, która, choć często „sprzedawana” jako patriotyczny nacjonalizm, zazwyczaj kończy się błaganiem o specjalne traktowanie. Kapitał natomiast jest kierowany z powodów politycznych, a nie w celu jego najbardziej produktywnego wykorzystania.

10 miliardów euro. Decyzja ta to kolejny gwóźdź do trumny dla nieskutecznej polityki rozwoju technologiczno-gospodarczego Niemiec. Infineon, największa niemiecka firma półprzewodnikowa, otrzymała w 2023 r. miliard euro na budowę fabryki chipów dla przemysłu samochodowego w Dreźnie. Jednak w sierpniu 2024 r. ogłosiła, że będzie zmuszona zwolnić 1,4 tys. pracowników. Natomiast fabryka aut elektrycznych Volkswagena w Zwickau, niegdyś chwalona przez Angelę Merkel jako „kamień węgielny przyszłości niemieckiego przemysłu motoryzacyjnego”, ograniczyła produkcję z powodu niskiego popytu. Zakład działa na zaledwie dwóch trzecich mocy produkcyjnych, a pracownicy zatrudnieni na umowach tymczasowych są zwalniani. Kiedy ogłoszono umowę z Intellem, niektórzy kwestionowali, czy producenci samochodów będą faktycznie kupować droższe chipy „Made in Germany”, czy też nadal będą wybierać tańsze odpowiedniki z Azji.

Mercedes sprzedał w 2023 r. co najmniej 170 tys. nowych samochodów elektrycznych

mniej niż planowano, a w pierwszym kwartale 2024 r. dostawy tych pojazdów zmniejszyły się o kolejne 9%. Volkswagen ogłosił w drugiej połowie 2024 roku, że zmuszony jest zamknąć trzy niemieckie fabryki, zwolnić 15 tys. pracowników oraz zredukować premie świąteczne i świadczenia socjalne dla pozostałego personelu. Prezes koncernu podkreślił, że w obecnej strukturze firma nie jest w stanie konkurować z chińskimi producentami. Taka sytuacja w kluczowym dla niemieckiej gospodarki przemyśle motoryzacyjnym jest bezprecedensowa w powojennej historii kraju. W marcu 2025 r. również Audi dołączyło do tego niepokojącego trendu, ogłaszając: zwolnienie 7,5 tys. pracowników, porzucenie rozwoju samochodów elektrycznych oraz powrót do strategii opartej na pojazdach spalinowych – wbrew wytycznym Zielonego Ładu forsowanym przez Unię Europejską.

Przymusowy *decoupling*

Na Zachodzie pojęcia takie jak globalizacja, wolny rynek czy wolny handel niemal całkowicie zniknęły z dyskursu publicznego. Paradoksalnie, dziś to właśnie Chiny stały się najgłośniejszym adwokatem tych idei. Jeszcze niedawno Zachód instrumentalnie wykorzystywał globalizację jako narzędzie ekspansji, lecz dziś jej rola uległa marginalizacji. Przyczyna tkwi w samej naturze ekonomii: w przeciwieństwie do fizyki, gdzie rządzą uniwersalne prawa (jak grawitacja), w gospodarce okoliczności dyktują reguły gry, a państwa i korporacje muszą się do nich adaptować. W tym kontekście wyłaniają się dwa dominujące trendy: dobrowolne odseparowanie (*voluntary decoupling*) i wymuszony rozdział (*forced decoupling*).

Kluczowym terminem stał się *decoupling* – strategiczne oddzielenie gospodarki amerykańskiej, a w szerszej perspektywie całego Zachodu, od Chin. To właśnie ta koncepcja stanowi rdzeń współczesnych procesów deglobalizacyjnych. Stany Zjednoczone wywierają ogromną presję na swoich sojuszników, aby ograniczyli wymianę gospodarczą z Chinami. Pod wpływem USA niemiecki gigant chemiczny BASF zamknął fabrykę i rafinerię w prowincji Xinxiang. Rzekomym powodem były chińskie prześladowania Ujgurów. Na łamach gazety „Handelsblatt” zasugerowano, że również Volkswagen może zostać zmuszony do zamknięcia fabryki w Xinxiangu. Jeśli tak się stanie, dotknie to między innymi dobrze opłacanych pracowników ujgurskich.

Zachód wykorzystywał globalizację jako narzędzie rozwoju, ale obecnie jej użyteczność już minęła. Ekonomią nie rządzą uniwersalne prawa, takie jak prawo grawitacji w fizyce. W ekonomii to okoliczności dyktują działania, a firmy odpowiednio się do nich dostosowują. Miejsce dogmatu globalizacji, wolnego rynku i wolnego handlu zajmują dwa wyłaniające się trendy: dobrowolne oddzielenie i wymuszone oddzielenie.

Ponadto Australia, na żądanie Amerykanów, nakazała chińskiemu konglomeratowi Yuxieo zbycie udziałów w Northern Minerals – australijskiej firmie zajmującej się wydobywaniem pierwiastków ziem rzadkich, niezbędnych dla nowoczesnej elektroniki. Co więcej, holenderska firma ASML, która produkuje krytyczny sprzęt do drukowania najmniejszych, nanometrowych

struktur na podłożach krzemowych, została zmuszona do zaprzestania wysyłania sprzętu do Chin. W rezultacie ASML, po utracie lukratywnego rynku chińskiego, przechodzi obecnie przez poważny kryzys. Takich przykładów można wymienić jeszcze wiele. Nie są to odosobnione przypadki, ale polityka zakrojona na szeroką skalę.

Geopolityczne konsekwencje dla Europy

Niemcy zmagają się ze swoją zależnością od Chin. Mimo iż Ursula von der Leyen powiedziała chińskiemu prezydentowi Xi Jinpingowi podczas spotkania w Paryżu, że Europa musi zaangażować się w „zmniejszanie ryzyka” (*derisking*), Niemcy pozostają w dużym stopniu związane z chińskim handlem i inwestycjami. Zależność ta stwarza dylemat, co prowadzi do niezdecydowania i opóźnień w planowaniu strategicznym. Produkcję do USA i Chin przenoszą duże korporacje, w tym BASF i Volkswagen. Tylko te dwie firmy zainwestowały w Państwie Środka 12 miliardów dolarów. I tak np. model Volkswagen ID.3 kosztuje 15 200 euro w Chinach, a w Niemczech – 39 900 euro, mimo iż oba są montowane głównie z części produkowanych w Chinach. Ta rozbieżność cen wynika z niższych kosztów pracy, tańszej energii, mniejszych świadczeń socjalnych i bliższych łańcuchów dostaw. System produkcji *just-in-time*, nadal skuteczny w Państwie Środka, na Zachodzie został zastąpiony przez systemy *just-in-case*, odzwierciedlając tym samym zmianę dynamiki przemysłowej. Dodatkowo Niemcy borykają się z poważnym niedoborem specjalistów, co zmusza firmy, takie jak Herrenknecht, do przenoszenia produkcji do Hiszpanii. Proces

biurokratyczny oraz wysokie koszty socjalne, które stanowią 50% budżetu, jeszcze bardziej komplikują sytuację.

Wobec nowej amerykańskiej polityki taryf i cel oraz wewnętrznych napięć w UE, Stary Kontynent staje przed widmem geopolitycznego chaosu, którego skala i kierunek pozostają dziś trudne do przewidzenia.

Nasz zachodni sąsiad stoi w obliczu zbliżającej się katastrofy budżetowej, zaostrożonej przez zwiększoną presję na wydatki wojskowe ze strony USA. Jednocześnie Stany Zjednoczone naciskają na Niemcy, aby ograniczyły handel z Chinami, co dodatkowo komplikuje sytuację. W 2023 r. niemiecki eksport do USA wyniósł 158 mld euro, a do Chin – 100 mld euro. Prezydent Donald Trump, który jeszcze przed wyborami zapowiedział nałożenie ceł importowych w wysokości 10-20% na towary z Unii Europejskiej, obecnie wdraża tę obietnicę z bezprecedensową determinacją. Ta protekcyjnista polityka, w połączeniu z negatywnymi trendami w gospodarce niemieckiej – od spadającej konkurencyjności przemysłu, po kurczący się eksport – zdaje się realizować najczarniejszy scenariusz dla Niemiec.

Sytuację dodatkowo pogłębiają wewnętrzne paradoksy niemieckiej polityki. 18 marca 2025 r. koalicja partii Bundestagu – działająca jeszcze w ramach kończącej się kadencji parlamentarnej – pod przywództwem Friedricha Merza, aktualnie nowego kanclerza, przeprowadziła kontrowersyjną nowelizację konstytucji. Zmiana ta, przegłosowana w atmosferze pośpiechu

i politycznego przekupstwa, podniosła dopuszczalny poziom zadłużenia państwa o bezprecedensową kwotę 500 mld euro, łamiąc przy tym wcześniejsze deklaracje samego Merza o zachowaniu dyscypliny fiskalnej. Decyzja ta nie tylko zwiększyła niemieckie zadłużenie do rekordowych 80% PKB, ale także osłabiła zaufanie inwestorów. Jeśli krótkowzroczna fala inwestycji finansowanych tym długiem – niczym słomiany ogień – wygaśnie bez trwałego wzmocnienia gospodarki, cały niemiecki projekt integracji europejskiej może runąć pod własnym ciężarem. Wobec nowej amerykańskiej polityki taryf i cel oraz wewnętrznych napięć w UE, Stary Kontynent staje przed widmem geopolitycznego chaosu, którego skala i kierunek pozostają dziś trudne do przewidzenia.

Konsekwencje dla Polski

Polska, niczym łódź dryfująca w cieniu niemieckiego przemysłowego kolosa, pozostaje w znacznym stopniu uzależniona od swojego zachodniego sąsiada. W przeciwieństwie do USA czy Europy Zachodniej, nie stać nas na miliardowe subsydia dla przemysłu, co stawia ją w niekorzystnej pozycji w wyścigu technologicznym. Jednak w tym pozornym deficycie siły kryje się nieoczekiwana szansa: przyszłość kraju może zostać wykuta nie tyle przez naśladownictwo, co innowacyjną rewolucję prosto z peryferii.

Kluczem do wzrostu są bowiem niszowe technologie, w których Polska już dziś odnosi globalne sukcesy. Nasze firmy, wpisane w gęstą sieć międzynarodowych łańcuchów wartości, przypominają perły w koronie globalnego przemysłu. Weźmy przykład smartfona: jego tajwański procesor powstaje przy użyciu holenderskiej maszyny ASML – jedynej na świecie

zdolnej do precyzyjnej fotolitografii. A w sercu tej technologicznej alchemii pulsują detektory podczerwieni z Ożarowa Mazowieckiego (VIGO Photonics) oraz soczewki odporne na ekstremalne promieniowanie UV z Józefowa (Solaris Optics) – komponenty bez konkurencji na rynku.

To nie jedyne przykłady. W Łomiankach firma Smarttech produkuje skanery 3D, których modele biją na głowę konkurencję precyzją i wiernością kolorów. W Poznaniu Airoptic dostarcza analizatory gazu, które strzegą czystości przemysłu energetycznego od Chin po Teksas. W Zaczerniu FIBRAIN samodzielnie zbudował fabrykę światłowodów, a w Wałczu Eagle tworzy najszybsze na świecie laserowe wycinarki metalu. Te firmy to czarne konie globalizacji: bez rozgłosu, za to z technologiczną maestrią podbijają rynki od Azji po Amerykę.

Polska nie musi być wiecznie pasażerem na cudzym statku. Jej szansa leży w inwestycjach w infrastrukturę przyszłości: sztuczną inteligencję, zaawansowane materiały, fotoniczne technologie. To właśnie te dziedziny, w których firmy z obszarów peryferyjnych przekształcają lokalny geniusz w globalne przewagi, mogą stać się kołem zamachowym gospodarki. Jak pokazują przykłady – mamy już wszystko, czego potrzeba: talent, *know-how* i determinację. Brakuje tylko jednego: śmiałej wizji, by zamiast dryfować, obrać własny kurs.

Polska wciąż przypomina archipelag bez mostów – brakuje nam „integratorów”, którzy połączyliby rozproszone wyspy innowacji w spójny kontynent nowoczesnych technologii. Pilnie potrzebujemy, na wzór gdańskiego Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową, „przewoźników współpracy”: sieci firm, uczelni i instytutów badawczych, które – niczym linie

żeglugowe – zapewniłyby przepływ wiedzy i zasobów między „wypami” polskiego potencjału. Choć wiele naszych firm, dzięki przysłowiowemu, polskiemu „improvizatorstwu”, podbiło zagraniczne rynki w pojedynkę, czas najwyższy zrozumieć, że indywidualizm to już za mało. Państwo musi stać się katalizatorem zmian, identyfikując branże-diamenty (te, które już świecą na globalnej mapie) i budując wokół nich ekosystemy: od laboratoriów po szkolenia; od finansowania po międzynarodowy marketing.

Niestety, w tym wyścigu jesteśmy jak biegacz z obciążeniem. Podczas gdy inne kraje dzięki wielowektorowej finezji, przyciągają chińskie inwestycje, Polska wciąż tkwi w pułapce – próbuje działać w pojedynkę a jednocześnie unikać jakichkolwiek nieporozumień z partnerami. Tę nierównowagę wyraźnie widać w relacjach z Chinami: polski eksport do Państwa Środka to wciąż głównie surowcowe echo przeszłości (jabłka, miedź, mleko w proszku), za to Chiny zalewają naszą gospodarkę cyfrowym tsunami (5G, elektronika, samochody elektryczne). W rezultacie nasza wymiana handlowa przypomina kolonialną wymianę nierówności – surowce za technologie. Natomiast Węgry, Serbia, a nawet Francja (sojusz Geely-Renault!) budują mosty partnerskich korzyści. Czy Polska, by skorzystać z chińskiego *know-how*, musi mieć przywódcę na wzór Orbana? Zdecydowanie nie – wystarczy strategiczna odwaga na wzór Francji czy Hiszpanii – państw, które łączą lojalność wobec UE z pragmatyczną współpracą z Pekinem. Kluczem nie jest wybór między Wschodem a Zachodem, lecz umiejętność gry na wielu polach jednocześnie. Zamiast beczynnie obserwować zmieniającą się geopolitycznie mapę, Polska powinna przejąć inicjatywę: nie jako naśladowca cudzych kroków, ale jako architekt

Kluczem dla rozwoju Polski nie jest wybór między Wschodem a Zachodem. W wielobiegunowej rzeczywistości musimy nauczyć się tańczyć na wielu parkietach jednocześnie, nie tracąc przy tym własnego rytmu. Zamiast beczynnie obserwować zmieniającą się geopolitycznie mapę, powinniśmy przejąć inicjatywę. Przyszłość naszego kraju nie leży w naśladownictwie, lecz w hybrydowej mądrości: łączeniu lokalnego geniuszu z globalnymi sojuszami, zanim zegar technologicznej rewolucji wybijie ostatnie uderzenie.

własnej strategii, który potrafi łączyć interesy, a nie tylko wybierać między nimi.

Współpraca z Państwem Środka, choć ryzykowna geopolitycznie (groźba „kaftana bezpieczeństwa” ze strony Zachodu), mogłaby być turbodoładowaniem dla naszej infrastruktury technologicznej. Czy to oznacza wybór między Wschodem a Zachodem? Nie – to wezwanie do strategicznej giętkości. W wielobiegunowej rzeczywistości musimy nauczyć się tańczyć na wielu parkietach jednocześnie, nie tracąc przy tym własnego rytmu. Przyszłość Polski nie leży w naśladownictwie, lecz w hybrydowej mądrości: łączeniu lokalnego geniuszu z globalnymi sojuszami, zanim zegar technologicznej rewolucji wybijie ostatnie uderzenie.

Chiny intensywnie inwestują nie tylko na Węgrzech, ale również we Włoszech i w Serbii. Serbia, nie będąc członkiem UE ani NATO, ma większą swobodę w realizacji inwestycji. Utworzyła nawet Instytut Badawczy Pasa i Szlaku przy swojej Akademii Nauk. Węgry natomiast próbują przekierować Inicjatywę Pasa i Szlaku, która obecnie przebiega przez polskie miasta,

takie jak Łódź, Kutno i Małaszewicze, na swoje terytorium, co może znacząco wzmocnić ich strategiczną i gospodarczą pozycję. O ile globalne napięcia nie zniweczą tych trendów, Węgry i Serbia wyłonią się jako beneficjenci nowego porządku – państwa, które zamieniły geopolityczną próżnię w strategiczny atut. Polska, zamiast dryfować w cieniu dawnych sojuszy, powinna podjąć „Zeitenwende” – strategiczny zwrot ku hybrydowej niezależności, dywersyfikując gospodarcze i dyplomatyczne powiązania. W pogoni za Zachodem, który sam zmienia kurs (lub zawraca), ryzykujemy, że staniemy się reliktem technologicznej epoki – im usilniej gonimy uciekający miraż nowoczesności, tym głębiej grzęźniemy w przeszłości, która nie jest już nawet nasza, lecz odzwierciedla technologiczną stagnację Unii Europejskiej.

Podsumowując, by wyrwać się z geopolitycznej smyczy Niemiec i USA, Polska musi stać się architektem własnej suwerenności gospodarczej. Inspirując się wielowektorową finezją Węgier, Hiszpanii czy Francji – które przekształcają chińskie inwestycje w trampoliny technologiczne – nasz kraj może przejść z pozycji wiecznego dostawcy surowców do kreatora globalnych łańcuchów wartości. Kluczem jest tu strategiczna symbioza: czerpanie z azjatyckiego dynamizmu, nie rezygnując przy tym z europejskiej tożsamości. Tylko w ten sposób, łącząc lokalny geniusz z globalną przedsiębiorczością, Polska ma szansę zerwać z rolą biernego widza i zostać reżyserem nowej gospodarczej rzeczywistości – tej, w której innowacje są walutą, a niezależność – najcenniejszym kapitałem. ■

O AUTORZE

prof. Mariusz Orłowski – Wykładowca i badacz fizyki półprzewodników Virginia Tech University w Stanach Zjednoczonych. Od 1984 do 2008 r. pracował w przemyśle półprzewodnikowym w firmach Siemens, Motorola, STMicroelectronics i Freescale w USA, Niemczech, Francji i Rosji. Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego.

Partnerzy

